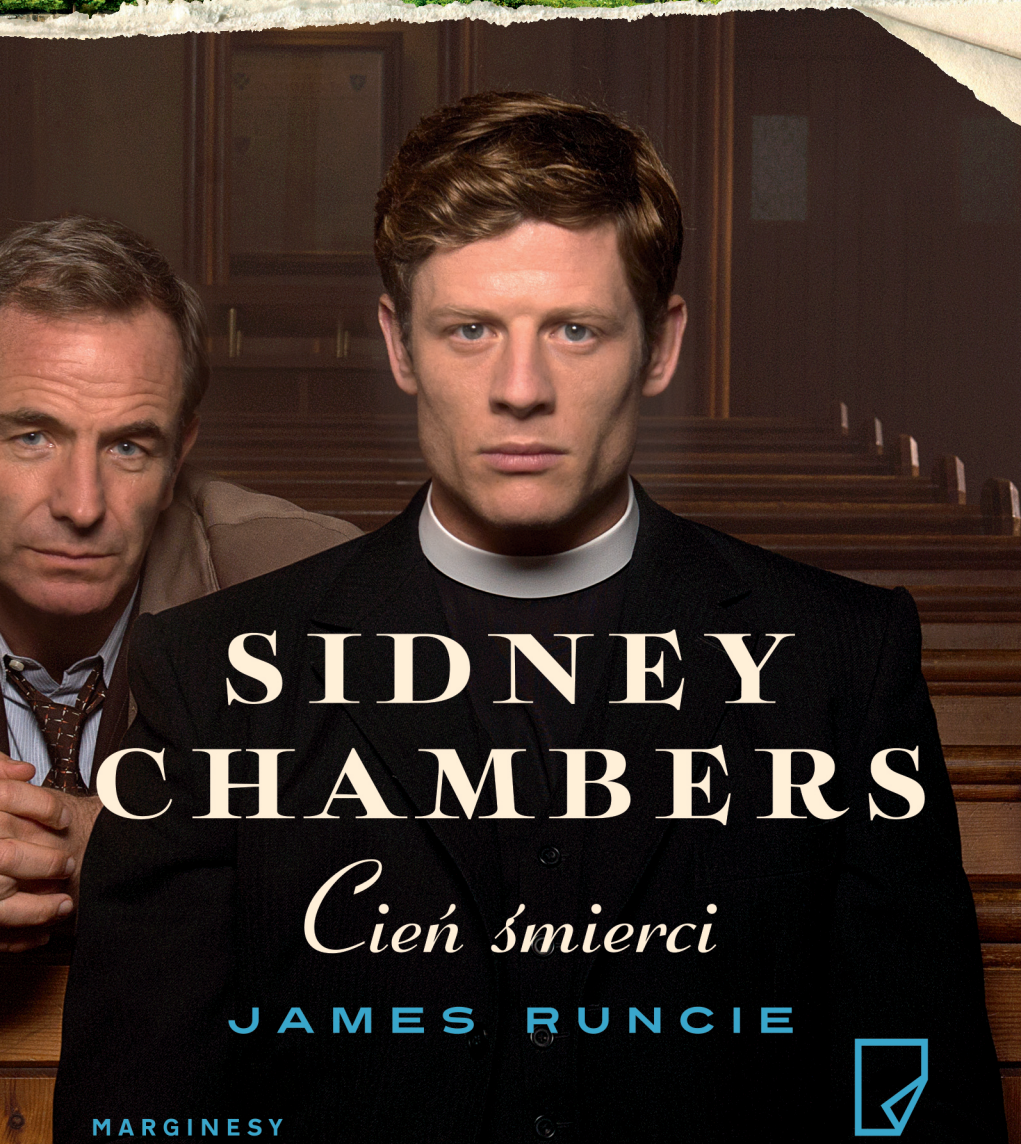


ZAGADKI **G** RANTCHESTER



SIDNEY
CHAMBERS

Cień śmierci

JAMES RUNCIE

MARGINESY



**SIDNEY
CHAMBERS**
Cień śmierci

JAMES RUNCIE

PRZEŁOŻYŁA EWA PENKSYK-KLUCZKOWSKA

MARGINESY

Dla Marilyn

Sidney Chambers and The Shadow of Death

COPYRIGHT © James Runcie 2012

This translation of *Sidney Chambers and The Shadow of Death*
(1st edition) is published by Wydawnictwo Marginesy by arrangement
with Bloomsbury Publishing Plc.

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Ewa Penksyk-Kluczkowska
COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY WYDAWNICTWO MARGINESY,
WARSZAWA 2016

CIEŃ ŚMIERCI

Ksiądz kanonik Sidney Chambers nigdy nie zamierzał zostać detektywem. Doszło do tego dosłownie przypadkiem, zaraz po pewnym pogrzebie – przystojna kobieta w średnim wieku podzieliła się z nim podejrzeniem, że niedawna śmierć notariusza z Cambridge, rzekomo samobójcza, w rzeczywistości była morderstwem.

W powszedni październikowy poranek 1953 roku na miasteczko Grantchester padały blade promienie nisko zawieszono-
go jesiennego słońca. Żałobnicy, którzy wzięli udział w pogrzebie Stephena Stauntona, zasłaniali przed światłem oczy, zdążając na stypę Pod Czerwonym Lwem. Gdy przyjaciele, znajomi, koledzy i krewni z Irlandii Północnej szli w milczeniu, z wiazów spadały pierwsze migoczące jesiennie liście. Ten dzień był za piękny na pogrzeb.

Sidney przebrał się już w garnitur i koloratkę i miał właśnie opuścić kościół, by dołączyć do pozostałych osób, gdy w cieniu kruchty zauważył elegancką damę. Dzięki okazałym obcacom wydawała się nienaturalnie wysoka, miała na sobie czarną suknię do pół łydki, etolę z lisa i toczek z woalką w kropeczki. Sidney zwrócił na nią uwagę już w czasie nabożeństwa, a to dlatego, że była najbardziej szykowną osobą w kościele.

– My się chyba nie znamy? – zagaił.

Dama podała mu dłoń w rękawiczkę.

– Pamela Morton. Stephen Staunton pracował z moim mężem.

– To dla nas wszystkich bardzo smutne chwile – odrzekł Sidney.

Dama najwyraźniej chciała szybko zakończyć formalności.

– Moglibyśmy gdzieś porozmawiać?

Sidney oglądał niedawno amerykański film *Młody człowiek z trąbką* i zmysłowy głos pani Morton skojarzył mu się z Lauren Bacall.

– Nie oczekują pani na przyjęciu? – spytał. – Mąż?

– Powiedziała, że chcę zostać na papierosa.

Sidney się zawahał.

– Ja na pewno muszę tam zajrzeć...

– Nie zajmę księdzu dużo czasu.

– A więc chodźmy na plebanię. Zapewne nikt jeszcze za mną nie tęskni.

Sidney był wysokim, smukłym trzydziestolatkiem. Uwielbiał piwo i jazz, chętnie grał w krykieta i gorliwie czytał książki, słynął też z subtelnej księżej elegancji. Twarzy o wysokim czole, orlim nosie i długawym podbródku przydawały łagodności orzechowe oczy i ciepły uśmiech sugerujący, że Sidney zawsze jest gotów myśleć o bliźnich jak najlepiej. Jak na kapłana przystało, urodził się w Dzień Pański. Świecenia przyjął zaraz po wojnie, a po niedługim wikariacie w Coventry i krótkim okresie służby kapelańskiej u biskupa Ely, w 1952 roku przydzielono mu parafię Świętego Andrzeja i Świętej Marii.

– Pewnie wszyscy księdza pytają... – zaczęła Pamela Morton, szacując wzrokiem nędzne wejście.

– Czy wolałbym mieszkać na starej plebanii z wiersza Ruperta Brooke'a*? Tak, niestety tak. Ale i z tej plebanii jestem

* Por. R. Brooke, *Stara plebania Grantchester* (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

całkiem zadowolony. Wręcz uważam, że jak na kawalera, mam tu za dużo miejsca.

– Nie jest ksiądz żonaty?

– Jak to mówią: poślubiłem pracę.

– Nie do końca rozumiem, kim jest kanonik.

– To tytuł honorowy przyznany mi przez diecezję z Afryki. Przede wszystkim jestem jednak po prostu księdzem. – Sidney wyczyścił buty o wycieraczkę i nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły, niezamknięte na klucz. – Słowo „kanonik” brzmi po prostu odrobinę lepiej. Proszę do środka.

Zaprowadził gościa do saloniku z sofami pokrytymi chintzem, ze starymi rycinami na ścianach. Pamela Morton omiotła pomieszczenie spojrzeniem ciemnych oczu.

– Przepraszam, że zajmuję księdzu czas.

– Ależ nie ma o czym mówić. Zdążyłem się już zorientować, że po pogrzebie i tak nikt nie wie, o czym rozmawiać z duchownym.

– W obecności księdza nie czują się swobodnie – odparła Pamela Morton. – Sądzą, że powinni się zachowywać, jakby nadal przebywali w kościele.

– Może za bardzo przypominam im o śmierci?

– Nie, nie sędzę, żeby o to chodziło. Raczej przypomina im ksiądz o rozmaitych grzechach i podłościach.

Pamela Morton uśmiechnęła się lekko i przechyliła głowę na bok, tak że pasmo kruczoczarnych włosów przesłoniło jej lewe oko. Sidney zorientował się, że przebywa w obecności niebezpiecznej kobiety czterdziestoparoletniej i że sam ten gest mógłby podzielać na męczyznę druzgocąco. Wyobrażał sobie, że jego rozmówczyni nie ma wielu przyjaciółek.

Pani Morton zdjęła rękawiczki, etolę i kapelusz, po czym odłożyła je na sofę. Gdy Sidney zaproponował jej filiżankę herbaty, wzdrygnęła się leciutko.

– Przepraszam za śmiałość, ale może ma ksiądz coś mocniejszego?

– Mam sherry, chociaż sam za nim nie przepadam.

– Whisky?

To był ulubiony trunek Sidneya. Trunek, który – jak sam siebie przekonywał – trzymał wyłącznie do celów leczniczych.

– Jak ją pani pije?

– Tak jak pił ją Stephen. Odrobina wody, bez lodu. On oczywiście pił irlandzką, ale ksiądz zapewne pije szkocką.

– W rzeczy samej. Mam znaczną słabość do dobrej single malt, ale niestety, zupełnie mnie na nią nie stać.

– No tak, to oczywiście tu, na plebanii.

– Jak rozumiem, dobrze pani znała pana Stauntona?

– Pozwoli ksiądz, że usiądę? – spytała Pamela, podchodząc do fotela przy kominku. – To będzie chyba trochę niezręczne.

Sidney nalał jej johnniego walkera, a i sobie wziął szklaneczkę dla towarzystwa.

– Najwyraźniej to delikatna kwestia.

– Nie jesteśmy w kościele, księżę kanoniku, ale czy mogę uznać, że także do tej sytuacji stosuje się tajemnica spowiedzi?

– Może pani polegać na mojej dyskrecji.

Pamela Morton zastanawiała się chwilę, czy mówić dalej.

– Nie sądziłam, że kiedykolwiek będę o tym rozmawiać z księdzem. Nawet w tej chwili nie jestem pewna, czy chcę to robić.

– Proszę się nie spieszyć.

– Chyba nawet nie mogę.

Sidney podał gościowi szklanę z trunkiem i usiadł. Słońce świeciło mu prosto w oczy, ale skoro już usiadł, uznał, że niegrzecznie byłoby zmienić pozycję.

– Nawykłem do słuchania – rzekł.

– Przyjaźniłam się ze Stephenem od zawsze – zaczęła Pamela Morton. – Wiedziałam, że nie jest już szczęśliwy w małżeństwie. Jego żona jest Niemką. Co prawda to niczego nie tłumaczy...

– Właśnie.

– Aczkolwiek ludzie gadają... Jak na takiego przystojnego mężczyznę to dość osobliwy wybór. Mógł wybrać, kogo chciał. Poślubienie Niemki tak od razu po wojnie było chyba aktem odwagi. – Pamela Morton umilkła na chwilę. – To trudniejsze, niż się spodziewałam...

– Proszę mówić.

– Kilka miesięcy temu przyszedłam do kancelarii po męża. Okazało się, że gdzieś go wezwano... Jakiś problem z testamentem. Stephen był sam. Powiedział, że zamierza pracować do późna, ale nagle zaproponował, żebyśmy poszli na drinka. Wydawało się to absolutnie niewinne. Był partnerem mojego męża, znałam go już tyle lat. Zawsze go bardzo lubiłam, a teraz zauważyłam, że coś go trapi. Nie wiedziałam, czy problemy zdrowotne, czy finansowe, czy może małżeńskie. Chyba takie kwestie najczęściej mężczyźni martwią...

– Rzeczywiście.

– Pojechaliśmy do Trumpington. Stephen chyba sądził, że tam nie natkniemy się na kogoś znajomego i nie będziemy musieli nikomu wyjaśniać, dlaczego wyszliśmy razem na miasto. Kiedy więc teraz o tym myślę, wszystko się zaczęło jednak nie bez czyjegoś udziału.

Sidney czuł się już trochę skrępowany. Jako kapłan nawykł do nieformalnych spowiedzi, ale często zawierały one sporą, jego zdaniem nadmierną, liczbę szczegółów. Niekiedy wołałby, żeby ludzie nie mówili mu aż tyle.

Pamela Morton kontynuowała zwierzenia.

– W pubie usiedliśmy na uboczu, z dala od pozostałych gości. Już wcześniej słyszałam, że Stephen nie stroni od alkoholu, ale i tak jego tempo picia mnie zaskoczyło. Był podenerwowany. Na początku prowadziliśmy zwykłą pogawędkę, aż nagle coś się zmieniło. Powiedział, że ma dość swojego życia. Dziwnie to zabrzmiało. Nagle dostrzegłam intensywność jego emocji. Mó-

wił, że nigdy nie czuł się dobrze w Cambridge. Że oboje z żoną są wygnańcami. Że powinien od razu po wojnie pojechać do Irlandii, ale tu miał pracę. Nie chciałby wyjść na niewdzięcznika wobec mojego męża, który mu tę pracę zapewnił, a poza tym gdyby tej pracy nie miał, nie poznałby mnie. Tymi słowami wprawił mnie w zakłopotanie. Zastanawiałam się, co powiem mężowi, a jednocześnie mówił to wszystko jakoś tak, że nie sposób było mu przerwać. Z żarliwością, desperacją i urokiem. Umiał posługiwać się słowem. Zawsze podziwiałam tę umiejętność. Kiedyś trochę grałam jako aktorka, rozumiem ksiądz. Na niewielką skalę. Zanim wyszłam za męża.

– Rozumiem – rzekł Sidney, zastanawiając się, dokąd zmierza ta rozmowa.

– Pomimo tego całego czarowania rozumiałam, że próbuje mi powiedzieć, że w jego życiu panuje chaos. Każdy, kto by go posłuchał, doszedłby do wniosku, że Stephen jest w samobójczym nastroju, ale myliłby się bardzo...

Pamela Morton znowu urwała.

– Nie musi pani mówić mi wszystkiego – zauważył Sidney.

– Muszę. To ważne. Stephen mówił, jak bardzo by pragnął uciec i zacząć wszystko od nowa gdzie indziej. Nagle, gdy tak siedzieliśmy w tym pubie, popatrzył mi przeciągle w oczy i wtedy... och... mógłby ksiądz dolać mi jeszcze odrobinę? Dla kurażu, rozumie ksiądz.

– Oczywiście.

– Księdzu to wszystko pewnie wydaje się podejrzane. Wie ksiądz, co powiem, prawda?

Sidney dolał whisky do szklanek.

– Nie. Chyba nie – odrzekł cicho. – Proszę kontynuować. – Zdążył się nauczyć, że nigdy nie należy przerywać płynnej opowieści.

– Stephen wyznał mi, że nie może przestać o mnie myśleć. Że beze mnie każda chwila jego życia jest żałosna. I że mnie

kocha. Nie wierzyłam własnym uszom. Mówił, że to wielki cud, że mieliśmy okazję zostać sami, by mógł mi to wszystko powiedzieć. Przy życiu trzymały go tylko te chwile, gdy się widywaliśmy, i jeszcze wyznał, że gdybyśmy mogli być razem, jego życie miałyby cel i sens i mniej by pił, i byłby szczęśliwy.

Pamela Morton podniosła wzrok, oczekując, że Sidney spyta, co zrobiła.

– Proszę mówić dalej – rzekł.

– Gdy go słuchałam – podjęła kobieta – czułam w środku takie dziwne ciepło. Nie wiem, skąd pochodziło. Myślałam, że zemdleję. Miałam wrażenie, że życie mi umyka. Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałam, ale on mówił takie rzeczy, które i mnie przychodziły do głowy. Zrozumiałam, że moje życie nie musi być ślepym zaułkiem w prowincjonalnym miasteczku. Mogłam zacząć od nowa. Mogliśmy uciec, uciec od swojej przeszłości, żyć bez historii, udając, że nie było wojny, że nie straciliśmy żadnych przyjaciół i że nie mamy żadnej rodziny. Mogliśmy być dwójką ludzi z przyszłością. Mogliśmy wyjechać w dowolne miejsce, tak mówił Stephen. Miał odłożoną pewną sumę, a ja musiałam jedynie rozważyć jego propozycję. Nie chciał mnie popędzać. Chciał tylko, bym się zgodziła...

– I zgodziła się pani?

– Pomyślałam, że to szalone i niemożliwe. Byłam przerażona i podniecona jednocześnie. Mówił, żebyśmy wsiedli z powrotem do samochodu i odjechali natychmiast, ruszyli wzdłuż wybrzeża i statkiem przepłynęli La Manche. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Mówił, że mam sobie wyobrazić, jak się śmiejemy na myśl o zamęcie, jaki wywołaliśmy. Mogliśmy przejechać całą Francję, mieszkać w romantycznych hotelikach, podczas gdy wszyscy inni dalej by wiedli swoje monotonne życie w Cambridge. Bylibyśmy wolni. Pojechalibyśmy na Riwierę, do Nicei, stroilibyśmy się i tańczyli w ciepłe letnie noce pod gwiazdami. To było szalone i wspaniałe, chociaż wiedzieliśmy, że nie

możemy wyjechać tak zaraz. Ale to była tylko kwestia czasu. Wszystko było możliwe. Wszystko mogło się zmienić.

– Kiedy to się działo? – spytał Sidney.

– Niedługo po koronacji. W pubie jeszcze wisały dekoracje. Cztery miesiące temu.

– Rozumiem.

– Wyobrażam sobie, co ksiądz sobie myśli.

– Nie osądzam pani w żaden sposób – odrzekł Sidney. Wcale nie wiedział, co myśleć. – Słucham.

– Ale na pewno się ksiądz zastanawia... Skoro byliśmy tacy porywczy, dlaczego to trwało tak długo? Moje dzieci już się usamodzielniały, ale i tak się nimi przejmuję. A więc gdy tylko wróciliśmy do domu, przeraziłam się tym wszystkim, co się łączy z taką ucieczką. Zaczęłam tracić głowę. Nie mogłam uwierzyć, co się stało. Może to był sen i Stephen tych wszystkich rzeczy nie powiedział? Zaczęliśmy się spotykać potajemnie i już wiedziałam, że chcę zrobić tylko jedno. Wpadłam w obsesję. Nie mogłam uwierzyć, że ludzie nie widzą, jak bardzo się zmieniłam. „Na pewno widzą”, mówiłam sobie. Nie miałam śmiałości wierzyć, że ujdzie mi to na sucho. Im dłużej to trwało, tym bardziej nie mogłam się doczekać wyjazdu. Już nie byłam sobą. Wręcz nie wiedziałam, kim jestem, ale powiedziałam Stephenowi, że musimy być pewni, że mamy wszystko ustalone, zanim zrobimy coś tak nierozważnego, i że powinniśmy wyjechać w Nowy Rok.

– I on się zgodził?

– Powiedział, że gdy mnie widzi, wierzy, że wszystko jest możliwe. I byliśmy szczęśliwi.

– I nikt inny nie wiedział o waszych planach?

– Mam w Londynie przyjaciółkę. Ona... to trudno wyjaśnić, proszę księdza. Ona zgodziła się, bym udawała, że nocuję u niej...

– Podczas gdy...?

– Podczas gdy nocowałam w hotelu ze Stephenem. No niestety. Na pewno uważa mnie ksiądz za rozwiązań.

Sidneya zbiła z tropu jej szczerość.

– Ależ nie mam prawa pani osądzać, pani Morton.

– Pamelu. Proszę mówić mi po imieniu.

Na taką poufałość było za wcześnie. Sidney uznał, że postara się już nie dolewać gościowi.

– Rozumie więc ksiądz, dlaczego przyszedłem?

Sidney nie rozumiał absolutnie nic. Dlaczego ta kobieta opowiadała mu to wszystko? Zastanawiał się, czy ma ona ślub kościelny, czy w ogóle traktowała poważnie swoją przysięgę małżeńską i jak jej się układało z dziećmi.

– Czego pani ode mnie oczekuje? – spytał.

– Nie mogę pójść na policję, żeby im wszystko powiedzieć.

– Nie, oczywiście, że nie.

– Nie mogę im ufać, że zachowają się dyskretnie. Mój mąż się o wszystkim dowie, a ja nie chcę wywoływać skandalu.

– Ale to przecież sprawa osobista? Policja nie ma z nią nic wspólnego.

– Właśnie ma, proszę księdza. Powinna się tą sprawą zająć.

– Ale dlaczego?

– Jeszcze ksiądz nie rozumie? Nie wierzę w samobójstwo Stephena. To zupełnie do niego nie pasuje. Zamierzaliśmy uciec razem.

– Więc co pani sugeruje?

Pamela Morton wyprostowała się na sofie.

– Morderstwo, księżu kanoniku. Mówię o morderstwie. – Gorączkowo szukała chusteczki w torebce.

– Ale kto by miał zrobić coś takiego?

– Nie wiem.

Sidneyowi zabrakło tchu. To oczywiście absolutnie zrozumiałe, że ktoś przychodzi wyznać mu swoje grzechy, ale oskarżenie o morderstwo to zupełnie inna para kaloszy.

– Taka sugestia jest niezwykle poważna, pani Morton. Na pewno tak właśnie pani uważa?

– Jestem pewna.

– I nikomu innemu pani o tym nie mówiła?

– Księdzu pierwszemu. Kiedy usłyszałam, jak mówi ksiądz na nabożeństwie o śmierci i utracie, poczułam pewność, że mogę mu zaufać. Ma ksiądz taki pokrzepiający głos. Szkoda, że nie chodzę do kościoła częściej. Mój brat zginął na wojnie i od tego czasu ciężko mi odnaleźć wiarę.

– To trudne, wiem.

– To, co powiedziałam, jest prawdą, proszę księdza – rzekła Pamela Morton tonem sugerującym, że nie ma już nic do dodania.

Sidney wyobraził sobie, jak jego gość siedzi na nabożeństwie żałobnym, jak zмага się ze swoim smutkiem. Zastanawiał się, czy rozglądała się po zgromadzonych, szukając podejrzanego. Ale po co by ktoś miał zabijać Stephena Stauntona?

Kobieta zorientowała się, że Sidneya trzeba przekonać.

– Pomysł, że Stephen odebrał sobie życie, jest absurdalny. Mieliśmy takie plany! Czuliśmy, że będziemy znowu młodzi, że możemy być, kimkolwiek zechcemy. Zaczęlibyśmy od początku. Żylibyśmy tak, jak jeszcze nigdy. Tak właśnie brzmiały ostatnie słowa, które usłyszałam z jego ust: „Będziemy żyć, jak jeszcze nigdy”. To nie są słowa człowieka, który zamierza się zastrzelić, prawda?

– Nie, rzeczywiście.

– A teraz wszystko przepadło. Nadzieja. Miłość. – Pamela Morton podniosła do oczu chusteczkę. – Nie mogę tego znieść. Przykro mi. Nie chciałam tu płakać.

Sidney podszedł do okna. Co on niby miał z tym zrobić, u diaska? To nie była jego sprawa... Nagle jednak przypomniał sobie, że skoro jest kapłanem, o żadnej sprawie nie może już tak powiedzieć. Żaden aspekt ludzkiego życia nie wychodził

poza zakres jego obowiązków. Co więcej, jeśli Pamela Morton miała rację i jeśli Stephen Staunton nie popełnił samobójstwa postrzeżanego przez tylu ludzi jako grzech, to oznaczało, że zamordowano niewinnego człowieka, a morderca przebywa na wolności.

– Czego oczekuje pani ode mnie? – spytał.

– Żeby porozmawiał ksiądz z ludźmi. Nieoficjalnie, jeśli ksiądz może. Nie chcę, by ktokolwiek się dowiedział o moim udziale w tej sprawie.

– Ale z kim mam rozmawiać?

– Z ludźmi, którzy go znali.

– Niezupełnie wiem, o co mogę ich pytać.

– Ludzie mówią księżom różne rzeczy, prawda?

– Prawda.

– I może ksiądz zadać niemal każde pytanie, choćby nie wiadomo jak osobiste?

– No, trzeba zachować ostrożność.

– Ale wie ksiądz, o czym mówię...

– Wiem – odrzekł z jak największą ostrożnością Sidney.

– A więc mając w pamięci wszystko, co powiedziałam, może ksiądz we właściwym momencie zadać pytanie, którego nie zadałby nikt inny?

– Chyba nie mogę niczego obiecać. Nie jestem detektywem.

– Ale zna się ksiądz na ludziach. Rozumie ich.

– Nie zawsze.

– No ale mnie, mam nadzieję, ksiądz rozumie.

– Tak – odrzekł Sidney. – Mówiła pani bardzo jasno. Wyobrażam sobie, że to musiało być straszne. Musiała pani radzić sobie z tym sama...

Pamela Morton odłożyła chusteczkę.

– To prawda. Ale powiedziałam to, co musiałam. Na pewno mogę polegać na dyskrecji księdza? – Spojrzała na niego znowu bezbronna. – Nie wyjawia ksiądz mojego nazwiska?

– Oczywiście, że nie! – zapewnił Sidney, już się martwiąc, jak zdoła dotrzymać tej obietnicy.

– Przykro mi w związku z tym wszystkim – ciągnęła pani Morton. – Wstyd mi, naprawdę. Nie wiedziałam, jak to powiedzieć, jakich słów użyć. Nic nie wiem i muszę siedzieć cicho, zachować spokój. Nie mam z kim porozmawiać. Dziękuję, że mnie ksiądz wysłuchał.

– Od tego jestem – odrzekł Sidney i od razu się zastanowił, czy to prawda. Po raz pierwszy zetknął się z przypadkiem cudzołóstwa, o morderstwie nie wspominając.

Pamela Morton wstała. Sidney zauważył, że pomimo płaczu nie rozmasał się jej tusz do rzęs. Znowu odgarnęła kosmyk włosów i wyciągnęła do niego dłoń.

– Do widzenia, księżę Chambers. Wierzy mi ksiądz, prawda?

– Wykazała się pani wielką odwagą, mówiąc mi to wszystko.

– Zdaniem Stephena odwagi akurat mi nie brakuje. Jeśli się dowie ksiądz, co mu się przydarzyło, mam nadzieję, że mnie pierwszej pan o tym powie. – Uśmiechnęła się znowu smutno. – Znajdę księdza.

– Zawsze można mnie znaleźć tutaj, pani Morton.

– Proszę mówić mi po imieniu.

– Do widzenia, Pamela.

Sidney zamknął drzwi wejściowe i zerknął na zegarek, który ojciec dał mu z okazji święceń. Może jednak zdąży na stypę... Wrócił do saloniku wypełnionego zniszczonymi meblami, które rodzice kupili mu na aukcji w okolicy. „Trzeba by to pomieszczenie trochę rozweselić” – pomyślał. Zebrał szklanki, zaniósł je do zlewu i odkręcił kran z ciepłą wodą. Lubił zmywać. Proste czynności porządkujące natychmiast przynosiły widoczne rezultaty. Przystanął na chwilę w oknie i patrzył na rudzika skaczącego na sznurze do prania. Niedługo trzeba będzie wysłać kartki bożonarodzeniowe.

Na obrzeżu szklanki po whisky Pameli Morton zauważył ślad szminki i przypomniał sobie przeczytany w „Sunday Timesie” wiersz Edny St. Vincent Millay.

Ust całowanych – czyje były, gdzie i po co –
Już nie pamiętam; czyje pod uspioną głową
Miałam ramiona, nie wiem; lecz dziś, w tę deszczową
Noc, zjawiają się duchy...*

„Ależ ludzie sobie komplikują życie” – pomyślał.

Inspektor Keating, przyjaciel Sidneya, wysłuchał jego rewelacji z ponurą miną.

– Ciężko sobie wyobrazić bardziej jednoznacznej sytuacji – westchnął. – Mężczyzna zostaje w biurze po wyjściu wszystkich pracowników. Zasiada do karafki whisky, a potem strzela sobie w głowę. Rano znajduje go sprzątaczką, wzywa policję, my przyjeżdżamy, i to wszystko! Sprawa przejrzysta jak kryształ mojej żony.

Obydwoj siedzieli przy swoim ulubionym stoliku w barze RAF-u w The Eagle, pubie dogodnie umieszczonym niedaleko posterunku przy St Andrews Street. Zaprzyjaźnili się po tym, jak Sidney celebrował pogrzeb poprzednika inspektora, i teraz nieoficjalnie spotykali się co czwartek po południu, by wypić kilka piw, zagrać w tryktraka i podzielić się zwierzeniami. Były to jedne z nielicznych chwil, gdy Sidney mógł zdjąć koloratkę, włożyć sweter i udawać, że nie jest duchownym.

– Niekiedy sprawy są zbyt oczywiste – zauważył.

– To prawda – zgodził się inspektor, wyrzucając piątkę i trójkę – ale ta sprawa jest prosta jak drut. – Mówił z lekkim akcentem northumbryjskim, jedyną pozostałością okolic, które opu-

* W przekładzie Stanisława Barańczaka.

ścił jako sześciolatek. – Aż nie mogę uwierzyć, że sugerujesz, że jesteśmy na niewłaściwym tropie.

– Nie sugeruję nic takiego. – Sidneya zaniepokoiło założenie przyjaciela, że on oficjalnie się czegoś domaga. – Jedyne daję wyraz zdziwieniu.

Inspektor Keating forsował swoje racje.

– Żona Stephena Stauntona powiedziała, że mąż był przygnębiony. I że za dużo pił. Irlandczycy już po prostu tacy są. Od sekretarki wiemy, że zmarły zaczął co tydzień jeździć do Londynu i że zaniebyszał pracę, za rzadko bywając w kancelarii. Musiała go nawet kryć i wykonywać co prostsze zadania za niego. Drobne czynności notarialne i tym podobne. Pozostaje też poślednia kwestia ostatnich wypłat z konta: duże sumy gotówką, których żona na oczy nie widziała. Nikt nie wie, co się z nimi stało. To sugeruje...

Sidney wyrzucił dwie piątki i przesunął cztery ze swoich pionków.

– Zapewne uznałeś go za hazardzistę...

– No oczywiście. I jeszcze uznałem, że długi zapewne pokrywał z pieniędzy firmowych. Gdyby żył, niechybnie musiałbym rozpocząć śledztwo w sprawie oszustwa. – Inspektor wyrzucił czwórkę oraz dwójkę i zbił jeden z pionków Sidneya. – Wyobrażam więc sobie, że gdy długi wzrosły, Stauntonowi groziło zdemaskowanie i strzelił sobie w łeb. To dość powszechne, prawda? Rekontra?

– Oczywiście. – Sidney rzucił raz jeszcze. – Ach... Chyba mogę jeszcze raz rozpocząć grę. – Ustawił pionek na linii dwadzieścia trzy. – Zostawił list pożegnalny?

To pytanie zirytowało inspektora Keatinga.

– Nie, Sidneyu, nie zostawił listu.

– Jest więc margines błędu?

Inspektor wychylił się do przodu i pokręcił głową. Już myślał, że ma wygraną w kieszeni, a oto widział, że Sidney niedługo mu się wymknie.

– W tej sprawie nie ma miejsca na wątpliwości. Nie każdy samobójca zostawia list pożegnalny...

– Większość zostawia.

– Mój szwagier pracuje w policji w rejonie Beachy Head. Oni tam nie zostawiają listów pożegnalnych, zapewniam cię. Po prostu skaczą i spadają.

– Wyobrażam sobie.

– Pan Staunton zabił się sam, Sidneyu. Jeśli mi nie wierzysz, złóż wdowie jedną ze swoich wizyt duszpasterskich. Na pewno to doceni. Tylko niczego sobie nie wymyślaj.

– Do głowy by mi nie przyszło – skłamał jego towarzysz, przewidując mało prawdopodobne zwycięstwo na planszy.

Sidney trafił do Grantchester ze względu na swój dawny college Corpus Christi, gdzie kiedyś studiował teologię, a teraz prowadził seminarium. Przysługiwało mu tu prawo do stołowania się w uczelnianych przybytkach. Lubił w swojej pracy połączenie elementu akademickiego z duchownym, ale niekiedy martwił się, że przez zajęcia w college'u brakuje mu czasu na skupienie się na obowiązkach duszpasterskich. Mógł prowadzić parafię, uczyć, odwiedzać chorych, prowadzić klasy bierzmowanych i nauki przedmałżeńskie, ale często miał poczucie winy, że za mało robi dla ludzi. Wręcz niekiedy ujmował to wprost: wolałby być lepszym duszpasterzem.

Wiedział na przykład, że jego obowiązki względem osób w żałobie wykraczają daleko poza samo odprawienie pogrzebu. Ci, którzy stracili ukochaną osobę, często potrzebowali więcej pocieszenia, gdy już ustąpił pierwszy wstrząs wywołany śmiercią, gdy ich przyjaciele powrócili do codziennych obowiązków i minął oficjalny okres żałoby. To właśnie duszpasterz powinien zapewnić pokrzepienie, powinien kochać swoich parafian i służyć im bez względu na koszty własne. W rezultacie Sidney w drodze do Cambridge na-

stępnego ranka bez wahania zaszedł do wdowy po Stephenie Stauntonie.

Mieszkała w środkowej części szeregowca z końca epoki wiktoriańskiej, przy Eltisley Avenue, ulicy znajdującej się na skraju Meadows. Do takich domów przeprowadzają się młode rodziny, gdy ma przyjść na świat ich drugie dziecko. Cała ta okolica sprawiała dość przyzwoite wrażenie, ale Sidney mimowolnie pomyślał sobie, że brakuje jej uroku. Praktyczne budynki uniknęły bombardowania w czasie wojny, ale trudno było dopatrzeć się w nich tchnienia historii czy tożsamości lokalnej. Krótko mówiąc – gdy Sidney szedł ulicą, czuł się, jakby przebywał w dowolnym miejscu w Anglii.

Hildegard Staunton była jeszcze bledsza niż na pogrzebie męża. Miała krótkie kręcone blond włosy i wielkie zielone oczy. Brwi nosiła wyskubane do cieniutkich linii, nie malowała ust. Na skutek tego wszystkiego jej twarz sprawiała wrażenie całkowicie pozbawionej emocji. Miała na sobie ciemnooliwkową podomkę z szalowym kołnierzem i rękawami zakończonymi mankietami, które Sidney zauważył dopiero w chwili, gdy kobieta podniosła dłoń do włosów. Może się zmartwiła, że wymagają mycia i że powinna umówić się na wizytę u fryzjerki, na którą jednak nie miała sił?

Hildegard w czasie uroczystości żałobnych była opanowana, choć spięta, ale teraz nie musiała zachowywać spokoju; wstała zaraz po tym, jak usiadła, nie mogąc się skoncentrować. Gdyby ktoś obserwował ją zza okna, pewnie by uznał, że coś zgubiła. Sidneya zaciekało, czy lekarz przepisał jej jakieś medykamenty, dzięki którym lżej znosiłaby ból utraty.

– Przyszedłem spytać, jak pani sobie radzi – zaczął.

– Udaję, że on ciągle tu jest – odpowiedziała Hildegard. – Tylko w ten sposób mam szansę to wytrzymać.

– Te wszystkie uczucia są dla pani nowe, dziwne. – Już sama wiedza o zdradzie Stephena Stauntona wprawiała Sid-

neya w zakłopotanie, a co dopiero wiedza o ewentualnym morderstwie.

– Zawsze w tym kraju czułam się dziwnie. Czasami wydaje mi się, że żyję cudzym życiem.

– Jak poznała pani męża?

– W Berlinie po wojnie.

– Był żołnierzem?

– Służył w Strzelcach Ulsterskich. Brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych przysyłało ludzi, żeby nas „przewietrzyli”, cokolwiek to znaczyło, i wszyscy chodziliśmy na wykłady o *Abendländische Kultur*. Ale nikt z nas ich za bardzo nie słuchał. Chcieliśmy tylko tańczyć.

Sidney próbował sobie wyobrazić Hildegard Staunton tańczącą w zbombardowanej sali balowej, pośród ruin. Poruszyła się na kanapie i poprawiła poję podomki. Może nie chciała o sobie opowiadać, ale skoro nie spojrzała mu w oczy, zrozumiał, że zamierza mówić dalej. Jej głos, choć łagodny, domagał się uwagi.

– Czasami wyprawialiśmy się na wieś i wieczorami piliśmy białe wino pod jabłoniami. Myśmy uczyli ich śpiewać *Einmal am Rhein*, a oni nas *The Star of County Down*. Podobało mi się, jak Stephen śpiewał tę piosenkę. A gdy opisywał swój dom w Irlandii Północnej, czułam, że to może być moje schronienie po wszystkim, co się wydarzyło w czasie wojny. „Będziemy mieszkali nad morzem – mówił – może w Carrickfergus”. Mieliśmy przechadzać się nad brzegami Lough Neagh i słuchać krzyku kulików przelatujących nad wodą. Miał taki urokliwy głos. Wierzyłam we wszystko, co mi mówił. Ale nigdy nie pojechaliśmy do Irlandii. Tutaj trafiła się propozycja pracy. Tak więc nasze wspólne życie zaczęło się dla mnie zupełnie nieoczekiwanie. Nigdy nie sądziłam, że będę mieszkać w angielskim miasteczku. Dla Niemki nie jest to oczywiście łatwe.

– Bardzo dobrze mówi pani po angielsku.

– Bardzo się staram. Ale na Niemców patrzy się podejrzliwie, na pewno ma ksiądz tego świadomość. Rozumiem, dlaczego ciągle tak myślą, od wojny minęło niewiele czasu. Trudno ich winić. Nie mogę mówić każdej napotkanej osobie, że mój ojciec nie był nazistą, że został zastrzelony na manifestacji komunistycznej, gdy miałam sześć lat. Nie uważam, że mam na sumieniu coś złego. Ale ciężko nam żyć po takiej wojnie.

– Każdemu ciężko.

Hildegard zamilkła i przypomniała sobie, że umknęło jej coś ważnego.

– Może napiłby się ksiądz herbaty?

– Z przyjemnością.

– Nie najlepiej parzę. Stephena nieustannie to bawiło. Częściej pił whisky.

– Sam mam raczej słabość do szkockiej.

– Stephen oczywiście pił irlandzką.

– No tak – przypomniał sobie Sidney. – Zupełnie inny smak.

Hildegard Staunton kontynuowała opowieść:

– Pił bushmillsa. Mówił, że to najstarsza whisky na świecie. Kojarzyła mu się z domem. „Whisky protestancka – powtarzał – z hrabstwa Antrim”. Brat mu przysyłał dwie skrzynki co roku, jedną na urodziny, drugą na Boże Narodzenie. Wychodziło po dwie butelki na miesiąc. To nie wystarczało. Może dlatego właśnie pojechał do Londynu przed śmiercią. Nie w interesach, tylko odebrać zamówioną whisky. W Cambridge nie mogliśmy dostać bushmillsa, a on nie pijał nic innego.

– Nigdy?

– Mówił, że wolałby już pić wodę. Albo dżin. A gdy już go pił, to i tak jak wodę. – Hildegard uśmiechnęła się smutno. – Może wolałby ksiądz sherry zamiast herbaty? Duchowni często pijają sherry, prawda?

Sidney nie chciał tłumaczyć, że osobiście nie lubi sherry.

– Z przyjemnością...

Pani Staunton podeszła do barku w kredensie. Sidney stwierdził, że w pomieszczeniu jest niewiele książek, ale zauważył pianino Bechsteina i kilka gustownych reprodukcji pejzaży, a także kolekcję niemieckiej porcelany, w tym skrzypka zalecającego się do tancerki i arlekina bawiącego się ogonem mopsa. Większość figurek przedstawiała dzieci: chłopca w różowej kurteczce grającego na flecie, dziewczynkę w różowej bluzce z koszem kwiatów, małą baletnicę, braci i siostry przy stole piknikowym.

Przypomniał sobie, z jakiego powodu tu przyszedł.

– Przepraszam, że się pani narzucam. Ale uważam panią za swoją parafiankę...

– Jak ksiądz wie, jestem luteranką. Nie chodzimy regularnie do kościoła.

– Zawsze jest pani mile widziana.

– *Kinder, Küche, Kirche*. – Hildegard się uśmiechnęła. – Niemiecka tradycja. Ja chyba nie jestem dobra w żadnej z tych konkurencji.

– Pomyślałem, że może przydałaby się pani moja pomoc...

– Odprawił ksiądz pogrzeb mojego męża. To już dużo, zwłaszcza w tych okolicznościach.

– Bardzo trudnych.

– Po tym, jak wojna zabrała tylu ludzi... Trudno zrozumieć, że ktoś rozmyślnie decyduje się odebrać sobie życie, skoro przeżył wojnę. I na pewno ksiądz to potępia.

– Wierzymy, że życie jest święte i dane od Boga.

– I zatem Bóg je odbierze.

– Niestety tak.

– A jeśli Boga nie ma?

– Nie mogę tak myśleć.

– Nie, rzeczywiście ksiądz nie powinien. – Hildegard po raz pierwszy uśmiechnęła się wesoło.

– Zdecydowanie.

Podawała Sidneyowi sherry. On zaś się zastanawiał, dlaczego się w to wszystko wplątał.

– Wróci pani do Niemiec? – spytał.

– Niektórzy mówią, że Niemiec już nie ma. Ale moja matka mieszka w Lipsku. Mam też siostrę w Berlinie. Tutaj chyba nie mogę zostać.

– Nie podoba się pani Cambridge?

– Czasami jest posępne. To właściwe słowo? Przez pogodę i wiatr...

Sidney zastanawiał się, czy małżeństwo Stauntonów w ogóle było kiedyś szczęśliwe.

– Tak mi przyszło do głowy... – zaczął niepewnie – czy mąż podzielał pani odczucia?

– Oboje chyba czuliśmy, że jesteśmy tu obcy.

– Był przygnębiony?

– Pochodził z Ulsteru. To jak ksiądz sądzi?

– Nie sądzę, żeby wszyscy pochodzący z Ulsteru byli przygnębieni, pani Staunton.

– Oczywiście, że nie. Ale w połączeniu z alkoholem... – Hildegard zawiesiła głos i nie dokończyła zdania.

– Wiem... alkohol nie pomaga.

– Dlaczego ksiądz o to pyta? – podjęła Hildegard.

– Przepraszam. To było nietaktowne, wiem. Zastanawiałem się po prostu, czy może bała się pani, że do tego dojdzie.

– Nie.

– Więc to był szok?

– Tak. Ale z drugiej strony mnie nic nie zaskoczy, proszę księdza. Kiedy ktoś, tak jak ja, stracił na wojnie większość rodziny, gdy nic mu z życia nie zostało i kiedy wszelka nadzieja obróciła się w pył, to dlaczego coś miałyby mną wstrząsnąć? Walczył ksiądz na wojnie?

– Tak.

– Więc pewnie ksiądz rozumie.

Sidney wiedział, że gdyby był lepszym chrześcijaninem, spróbowałby porozmawiać z Hildegard o szukaniu pociechy w wierze, uważał jednak, że to nie jest odpowiedni moment.

Ta rozmowa wzbudziła w nim niepokój, bo tyle tematów przebiegało mu przez głowę: natura śmierci, obraz małżeństwa i problem zdrady. Skupienie się na którymś z tych zagadnień zapewne zdenerwowałoby Hildegard, starał się więc prowadzić rozmowę neutralnym torem.

– I pochodzi pani z Lipska? – zapytał.

– Tak.

– Tak jak Bach.

– Gram codziennie. Studiowałam w Hochschule w Berlinie u Edwina Fischera*. Był dla mnie jak ojciec. Słyszał ksiądz o nim może?

– Moja matka ma chyba jedną z jego płyt.

– Pewnie *Dobrze nastrojony klawesyn***. Jego dzieła wypełniały przestrzeń i radość. To był wspaniały człowiek. Ale w czterdziestym drugim wyjechał do Lucerny, a ja straciłam pewność siebie.

– Pewnie z powodu wojny.

– Wiele rzeczy się na to złożyło.

– Daje pani lekcje?

– W Niemczech miałam wielu uczniów. Wie pan, że praca to nasza broń w walce ze zmęczeniem życiem.

– *Weltschmerz*.

– Zna ksiądz to słowo? – Hildegard znowu się uśmiechnęła. – Jestem pod wrażeniem, księżę kanoniku. Ale tutaj niełatwo pracować. Kiedy wrócę do Niemiec, może zdecyduję

* Edwin Fischer (1886–1960) – szwajcarski pianista i dyrygent.

** Org. *Das Wohltemperierte Klavier* – dwutomowy zbiór dwóch cykli preludium i fug Johanna Sebastiana Bacha.

się pracować. Muszę pracować. Nie wiem, co mój mąż zrobił z pieniędzmi.

– Nie zostawił testamentu?

– Nie sędzę.

– Może współnik męża czekał aż do pogrzebu, żeby panią powiadomić o istnieniu tego dokumentu?

– Nie znam go zbyt dobrze. Mąż niechętnie mówił o pracy. Najwyżej tyle, że się w niej nie spełnia. Wiem jedynie, że Clive Morton miał podobne odczucia. Przypuszczam, że bardziej się interesował golfem niż prawem.

– Może bym rozpytał w pani imieniu, jeśli to pani pomoże?

– Nie chciałabym księdzu robić kłopotu.

– To żaden kłopot – zapewnił Sidney.

– Nie spieszy się... – mówiła dalej Hildegard Staunton. – Mam własne konto bankowe i na razie wystarczy mi pieniędzy. Gdybym jeszcze nie czuła się taka zmęczona. Myślę, że to smutek. Zupełnie jakbym patrzyła w szyb windy. Ciemna dziura. Ciągnie się w dół i nie widać jej dna.

Sidney usiadł obok niej.

– Bardzo mi przykro, pani Staunton. Może nie powinienem pani nachodzić.

Hildegard spojrzała mu w oczy.

– Nie, cieszę się, że ksiądz przyszedł. Czuję się nieswojo. Mam nadzieję, że ksiądz mi wybaczy.

– Doznała pani ogromnej straty.

– Nie spodziewałam się, że to będzie tak straszne. Wiedziałam, że Stephen trzyma swój rewolwer z czasów wojny. Mówił, że niekiedy rozmyśla o tym, do czego mu służył. O ludziach, których zabił. Miał takie wyrzuty sumienia. Myślę, że pamięć o walkach go przerastała. Może poślubiając mnie, chciał spróbować naprawić to, co się stało, ale moim zdaniem tylko sobie zaszkodził. Wciąż rozmyślał o tym, że może zabił kogoś, kogo znałam: nauczycieli, przyjaciół, krewnych.

Nie wiedziałam, co mu na to odpowiadać. Nic dobrego z tego nie wynikało.

Sidney sam pamiętał, jak walczył w ostatnim roku wojny w Gwardzistach Szkockich: długie okresy czekania, bezsenne noce, a potem szybkie ataki, ryzyko, śmierć. Pamiętał nie tyle zabijanie, ile poczucie winy i straty: takich ludzi jak Jamie Wilkinson „Wilko”, którego wysłał na zwiad i który nigdy nie wrócił. Przypominał sobie strach na twarzach ludzi; nagłe akcje, a później, po ich zakończeniu, pospieszne, barbarzyńskie grzebanie kolegów. Nikt o tym nie mówił, ale Sidney wiedział, że oni wszyscy wciąż myśleli o tym, co się zdarzyło, i że mieli nadzieję, że ich natrętnie myśli i lęki kiedyś ucichną. Resztę życia spędzą w cieniu śmierci i cokolwiek będą robić, nic nie wywrze na nich takiego wpływu jak to, co robili w latach wojny.

– Słucha mnie ksiądz?

Sidney przypomniał sobie, gdzie się znajduje.

– Bardzo panią przepraszam.

Hildegard sprawiała wrażenie wręcz ubawionej jego brakiem uwagi. Sidney dostrzegł zaczątki uśmiechu. Podobały mu się jej usta.

– Chyba się ksiądz rozmarzył. Rozmarzenie to dla mnie coś normalnego, nawet bardziej niż to, co jest prawdziwe.

Sidney przypomniał sobie powód swojej wizyty. To nie będzie łatwe, ale musiał się postarać odkryć prawdę.

– Chciałem zadać pani pewne pytanie. Mam nadzieję, że pani nie urażę.

– Mam nadzieję, że zdołam na nie odpowiedzieć.

– Wiem, że to może zabrzmie dziwnie... – zaczął z wahaniem Sidney – ale jak pani sądzi, czy ktoś chciałby skrzywdzić pani męża?

– Co to za pytanie!

– Bardzo przepraszam...



Skromny młody proboszcz w niewielkim Grantchester zamienia się w detektywa na miarę powieści Agathy Christie, choć wolałby bez reszty poświęcać uwagę swoim parafianom. Skoro jednak parafianie giną w tajemniczych okolicznościach, a wręcz sami popełniają zbrodnie, to nie ma rady.

Morderstwo ekscentrycznego, powszechnie szanowanego arystokraty, zniknięcie niezwykle cennego płótna Holbeina, rzekomo samobójcza śmierć notariusza, zabójstwo młodziutkiej córki właściciela klubu jazzowego czy krępująca kradzież, do której doszło w gronie przyjaciół – przed anglikańskim księdzem stoją trudne wyzwania.

Towarzyszy mu jednak krąg barwnych postaci – jego przyjaciel, zapracowany inspektor Keating, błyskotliwa Amanda, z którą Sidney chętnie by się ożenił, pani Maguire, która niestety nigdy nie owija w bawełnę, ekscentryczny wikary Leonard Graham i młodziutki, bardzo entuzjastyczny labrador Kusy.

**ANGIELSKA PROWINCJA,
PIĘKNY CAMBRIDGE I BARWNY LONDYN,
JESZCZE KONSERWATYWNY I PEŁEN
UPRZEDZEŃ, A JUŻ TĘTNIĄCY JAZZEM.**

www.marginesy.com.pl



9

788365 586001

cena 37,90 zł

PAŃSTWOTY TUZIMANT

BOOKLIPS.PL IIII



www.portal-kryminalny.pl